Rok V. Kraków, 15 lutego 1902 r. Nr. 4.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie wraz z przesyłką pocztową: 2 kor. = 2 mk. = 1 rubel 25 kop.

Cena pojedynczego numeru 40 halerzy, 20 kop.



Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ul. Filipa L. 23.

TELEFON Nr. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Lwów: Ajencya dzienników, Pasaż Hausmana l. 9.

Główny skład na Królestwo Polskie w Księgarni G. Centnerszwera, Warszawa, Marszałkowska 143.

— Wiedz pan o tem, że ja wam dziennikarzom z zasady nigdy nie wierzę!
— A to dlaczego — proszę pani?
— Bo wy zawsze żądacie naprzód zaliczki...

Ck. sąd krajowy jako prasowy na wniosek ck. prokuratora państwa po myśli § 493 pk. orzekł, że zamieszczone w nrze 3 czasopisma »Bocian« z dnia 1 lutego 1902 r. artykuły: 1) strona 1 pod ryciną słowa »tylko nie« do »pędzla«, 2) »Z krakowskich plotek« cała strona 2, 3) »Piekarze« od »A z nich« do »czapkę włoży« strona 3, 4) »sprostowanie« słowa »ot i następny wyraz« strona 3, 5) strona 5 ilustracya przedstawiająca obnażoną kobietę i satyra, 6) strona 5 ilustracya przedstawiająca obnażoną kobietę, 7) strona 8 ilustracya przedstawiająca obnażoną kobietę i mężczyznę, 8) strona 8 szpalta 2 ilustracya przedstawiająca obnażoną kobietę, 9) strona 8 łam 3 ilustracya przedstawiająca obnażoną kobietę i mężczyznę, 10) Przysłowia i przepowiednie na luty 6-go od »około św. Doroty« do »ziazia« strona 9 — zawierają znamiona występku z § 516 uk., że zakazuje się rozszerzania tych artykułów, zatwierdza się zarządzoną przez ck. prokuratoryę państwa konfiskatę pomienionego numeru, a cały nakład takowego ma być zniszczonym, albowiem w artykułach tych przedstawia autor czyny niemoralne naruszające wstydliwość i obyczajność w sposób gruby i publiczne zgorszenie wywołujący.

Ck. sąd kraj. jako prasowy. Kraków dnia 30 stycznia 1902 r.

Morelowski.



Z Ollendorfa.

— Czy zastanę teraz w domu prezydenta Friedleina?

— Nie, nie zastaniesz pan go w domu, ani w urzędzie, bo prezydent Friedlein jest teraz zawsze przed balem, na balu, lub po balu.

— A czy prezydent Friedlein umie tańczyć mazura lub czardasza?

— Nie, prezydent Friedlein nie umie tańczyć ani mazura, ani czardasza, ale komitet balowy ma dobre wino i kucharz przyrządza dobre potrawy.

— A czy to prawda, że prezydent Friedlein tańczył poloneza we Lwowie za miejskie pieniądze?

— Może być, — albowiem prezydent Friedlein chcąc zostać dyrektorem K a s y O s z c z ę d n o - ś c i, musi pokazać, że ma ku temu kwalifikacye.

WODA I PREZYDENTURA.

Po tem, co prof. Olszewski w „Czasie“ silnie twierdzi,
Jasnem jest, że bielańska woda mocno... śmierdzi.
O Rotterze! Rotterze! toną twe nadzieje
Bo ci prezydenturę ta woda zaleje.

Hr. marszałek i hr. Andrzej.

Jak się dowiadujemy pomiędzy hr. Andrzejem Potockim a Marszałkiem krajowym wynikło bardzo ostre nieporozumienie. Hr. Potocki zarzuca mianowicie Hr. Marszałkowi trwonienie z lekkiem sercem pieniędzy. Już bal wydany we Lwowie irytował hr. Potockiego, a oliwy do ognia dolał bal wydany przez hr. Marszałka w Krakowie.

„Jak tak dalej będziesz postępował — miał mówić hr. Andrzej do hr. Marszałka — to pójdziesz na żebry, bo ja, daję ci słowo, centa złamanego ci nie pożyczę“.

Hr. Marszałek sumitował się, że splendor domu wymaga nadzwyczajnych wydatków, że on sam płacze nad każdym wydanym centem, ale trzeba i dla przodków coś uczynić, zwłaszcza gdy ci byli tak dobrzy i zostawili nieco ziemi i gotówki.

Hrabiego Andrzeja nie przekonały jednak te argumenty hr. Marszałka.

„Patrz na mnie — mówił — chociaż tak skąpiłem, zawsze w Krakowie jak ostatni szewc, a przecież mnie szanowano i okadzano“.

„Bo widzisz — odrzekł na to hr. Marszałek — co innego Lwów, a co innego Kraków. Te bestye Lwowiaki przyzwyczajeni dobrze żreć i pić — ich jednem święconem na rok nie zadowolnisz. Zresztą, mój kochany, nawet i w Krakowie gdybyś nie był obrzydliwym sknerą, byłbyś został... prezydentem!“

— E! gwiżdżę na to! — wtrącił hr. Andrzej.

— Tak, gwiżdżesz dziś, ale jakżeś się wściekał, kiedy ci figę pokazano!...

W tem miejscu przyszło do wymiany przykrych słów i dopiero pani Marszałkowa ułagodziła gniew hr. Andrzeja. Pomimo to odjechał odmówiwszy stanowczo Marszałkowi żądanej pożyczki, tak, że biedny Marszałek musiał dopiero za pośrednictwem Dra Leo eskontować weksel u firmy Horowitz & Hirsch Landau — pomimo, że poprzedni weksel „honorowy“ z czasu wyborów nie został jeszcze uregulowany.

Świętoszek.

Pan Adam Krechowiecki gorszy się z „Legendy“.
Świętoszku! przedewszystkiem karć swe własne błędy.
Bo gdy przed sądem wiecznym twoja dusza stanie
Skażą ją, boś niejedno zgwałcił przykazanie!



Szwajgeld.

Dwie przyjaciółki rozmawiają o losach trzeciej, która niedawno za mąż wyszła.

— Ta Mania dostała wcale porządnego męża — rzecze jedna — co chwilę widzę ją w nowej sukni...

— Ależ, moja droga — rzecze druga — ona zarabia to sobie sama grą n a f o r t e p i a - n i e i ś p i e w e m...

— Jakto? Mania? Więc mąż jej pozwala?

— Widzisz, to jest tak: ile razy Mania zaczyna grać lub śpiewać, zawsze jej mąż daje p i ą t k ę, ż e b y p r z e s t a ł a.

Ludwikowi, synowi Alfreda.

Redaktorze I l u s t r a c j i!
Wytłomacz się, proszę —
Czy ci nie wstyd Prusakowi
Było dawać grosze?

Wymyślałeś raz niejeden,
Że to inni czynią,
Ztąd i tego i owego
Zwałeś słusznie świnią.

Szpak jest z ciebie — w głowie olej
Masz, nie zwykłe siano, —
A więc powiedz sam, Ludwiczku,
Jakie dać ci miano?



Z tysiąca i jednej nocy.

Opowiadanie prawdziwe.

Owego wieczoru dość wcześnie zjadłem kolacyę, nie chciało mi się jeszcze spać — więc poszedłem do kawiarni na herbatkę. Spotkałem się tam z moim kolegą uniwersyteckim, Antosiem, lekarzem szpitala. Siadamy przy stoliku i wśród miłej pogawędki popijamy chińską i dogryzamy pączków. Naprzeciw mnie siedzi samotny, jakiś blady facet, fizyognomia na bruku zupełnie nieznana, który jakoś dziwnie wpatruje się we mnie. Pytam się Antosia, co to za jegomość, ale on go także nie znał — więc chcąc się uwolnić od tego nieznośnego fiksowania, odwracam się dość ostentacyjnie tyłem do owego pasażera. Naraz czuję, ktoś zlekka klapnął mnie w plecy — odwracam się — to ów nieznajomy.

— Czego pan chcesz? — spytałem szorstko.

— Proszę pana na słówko — rzecze tamten głębokim basem.

— Ależ ja pana nie znam wcale!

— To nic nie szkodzi! Za to ja pana doskonale znam! — To rzekłszy, wyrecytował moje imię, nazwisko, stan i t. d.

Obstupui! Począłem się pilnie w niego wpatrywać, ale napróżno! Niczego nie mogłem sobie przypomnieć. Ten nieznany gość zaczął mnie interesować — wietrzyłem już jakąś przygodę.

— No dobrze! — rzekłem — ale czemże właściwie mogę służyć?

— Mój panie! — szepnął nieznajomy, a oczy zapałały mu jakimś tajemniczym blaskiem. — Widzisz pan przed sobą człowieka zdeterminowanego na wszystko, nawet na śmierć, a takim, jak pan wiesz, niczego się nie odmawia... Musisz pan wypełnić moją prośbę...

— Dobrze... ale... — sięgnąłem do kieszeni, domyślając się już jaki obrót cała sprawa weźmie...

— Ależ nie o to chodzi! — żywo żachnął się mój gość, zobaczywszy mój ruch. — Ten oto list zaniesiesz pan na ulicę podaną w adresie, numer ten a ten, pierwsze piętro, drzwi na prawo od schodów — to mówiąc, wręczył mi list w białej kopercie bez adresu.

— Mój panie! — rzekłem oburzony — od tego są ekspresi...

— Wiem! wiem! Ale tu jest bardzo delikatna misya! Reszty dowiesz się pan na miejscu! *Musisz* mi pan to zrobić...

Zrobił przytem taki groźny, nieokreślony ruch ręką, że nie miałem odwagi odmówić. Zresztą, pomyślałem sobie, co mi to szkodzi. Zapłaciłem i wyszedłem z Antosiem. Udaliśmy się pod wskazanym adresem.

* * *

Zastaliśmy wszystko tak, jak nieznajomy mi opisał. Kazałem Antosiowi zaczekać na korytarzu. Zadzwoniłem. Otworzył mi lokaj — wszedłem do oświetlonego przedpokoju. Rozebrałem się — fagas wskazał mi drzwi do salonu. Wszedłem — salon rzęsiście oświetlony, z wschodnim przepychem bajecznie urządzony — ale pusty. Po chwili wchodzi pani domu. Widziałem już dużo ładnych kobiet — ale takiej, dalibóg, nie widziałem. Wysoka, słuszna brunetka, o matowo bladej cerze, oczy czarne, jak płonące węgle... Naraz zrobiło mi się gorąco. Skłoniłem się niezgrabnie i oddałem list. Moja piękna nieznajoma nerwowym ruchem rozerwała kopertę — podczas czytania to bladła, to się rumieniła...

Usiadłem na niskim foteliku. Zachowywałem się jak student, ale moja gospodyni tego nie zauważyła, bo sama była czegoś roztargniona. Podano koniak — piliśmy, rozmawiając o potocznych rzeczach. Tyle tylko zauważyłem, że moja nieznajoma, to dama światowa. Naraz pani domu wstaje, znika za kotarą swego buduaru, mówiąc, że zaraz przyjdzie. Czekałem dobre pół godziny, zastanawiając się w duszy nad tem, jaki obrót cała ta sprawa weźmie. Nagle zjawia się moja gospodyni — w białej, jedwabnej sukni z welonem i bukietem — jak do ślubu.

— Mój panie! — szepnęła półgłosem — zawieziesz mnie pan do ślubu... Będziesz moim świadkiem.

Zgłupiałem do reszty. Byłem jak oszołomiony... nie wiedziałem, co się ze mną dzieje — a zresztą ta nieszczęsna żądza nadzwyczajnych wrażeń gwałtownie pchała mnie naprzód. Zgo-



Ukarana chciwość.

Pan Kalasanty, starszy swego cechu, przy wszystkich swoich zaletach, do których należała okazała tusza i nos koloru najdelikatniejszego fioletu, miał jedną wielką wadę: oto pasyami lubił jeść i pić... jeżeli go to nic nie kosztowało. To też na żadnych weselach, chrzcinach, i innych tego rodzaju uroczystościach nie brakło zacnego pana Kalasantego, wszędzie potrafił się wkręcić, co mu tem łatwiej przychodziło, ile że dla swego jowialnego humoru wszędzie był mile pożądanym gościem. Jego kolega, podstarszy cechu, bardzo zamożny człowiek, wydawał córkę za mąż — pan Kalasanty z zadowoleniem głaskał się po brzuchu i lubieżnie mlaskał językiem na samą myśl o czekających go uciechach w jadle i napitku... Dzień wesela się już zbliżał, a pan Kalasanty zaproszenia jakoś niedostawał. (Zapomnieliśmy powiedzieć, że pan Kalasanty ze względów „politycznych“ nie żył bardzo dobrze ze swoim kolegą). Nadszedł dzień wesela, a zaproszenia jak nie było, tak nie było. Pan Kalasanty umyślnie cały ten dzień się głodził, bo nie mógł przypuścić, żeby wesele bez niego mogło się odbyć. Ale gdy wieczór zapadł, a zaproszenia nie było, pan Kalasanty klnąc na czem świat stoi, kazał żo nie wieczerzę uwarzyć, pojadł sobie smacznie i obficie, bo cały dzień biedak pościł i poszedł spać. Wkrótce sapał jak dwa miechy kowalskie. O północy ktoś począł się dobijać do drzwi jego mieszkania.

— Pewno po mnie przyszli na wesele! — mruknął przebudzony pan Kalasanty. — Pójdę, ale im nie daruję...

To rzekłszy zawlókł się do cebrzyka, wsadził dwa palce do gardła... i wkrótce był już gotów do pójścia na wesele... poczem otworzył drzwi.

— Kto tam? — pyta.

— To ja — był to jego sąsiad. — Ty już śpisz Kaluś?

— Tak abo co?

— Widzisz, szkoda spać — taki ładny wieczór — chodźmy się przejść.

---

dziłem się. Schodzimy na dół — przed bramą czeka na nas dwukonny, zamknięty powóz.

— Ulica Podwale, numer ... — rzecze nieznajoma do woźnicy.

Konie szparko nas uniosły. W powozie próbowałem wobec mojej pięknej towarzyszki trochę awansować — ale jakoś nie szło. Powóz stanął. Wchodzimy do jakiejś kamienicy na I sze piętro Jak w bajce otwierają się drzwi przed nami — wchodzimy do jasno oświetlonego pokoju — kilku nieznajomych mi panów, a między nimi ów nieznajomy z kawiarni we fraku — to był pan młody. W głębi stał stolik nakryty białym obrusem, z potrzebnemi utensyliami — obok stał ksiądz w ornacie. Wszystko już było do ceremonii przygotowane — za chwilę byli połączeni dozgonnym węzłem, poczem ja podpisałem akt jako świadek.

— Dziękuję panu! — rzecze pan młody, ściskając mnie ze wzruszeniem. — Ale nie na tem koniec! Musisz pan wiedzieć że ja jestem politycznym zbiegem i mam pobyt w Austryi zakazany... bawię tu incognito... za godzinę odjeżdżam... musisz pan moją żonę odwieść do domu i opiekować się nią przez pewien czas... dopóki bliższych nie otrzymasz wskazówek...

Byłem wprost nieprzytomny. Za chwilę już nas powóz unosił do mieszkania mojej nieznajomej.

S k o n f i s k o w a n o!



O miłości i kobiecie.

Kobieta piękna a zła, podobną jest do lakierka, który zdobi nogę, lecz dyabelnie dopieka.

Kobieta to jak pieniądz — oboje okrągli, oboje brzęczą i za obojgiem się tęskni, gdy ich nie ma.

Natura lubi wybryki i policyi się nawet nie boi.

Najstraszniejszą plagą dla człowieka śpiącego są: podagra i kobieta.

Powiadają, że przeciw śmierci nie ma lekarstwa — to samo można zastosować i do miłości.

Przystojna żona jest połową karyery.

W miłości przebacza kobieta wszystko, z wyjątkiem — próżniactwa.

Czcij ojca i matkę twoją — powiada czwarte przykazanie! Ba, gdyby to każdy znał swego ojca!...



NIERÓWNE SIŁY.

Pewien młody małżonek kłóci się po całych dniach ze swoją teściową. W trakcie jednej takiej sceny woła godna teściowa:

— Ja już przeżyłam sześciu takich zięciów, jak ty jesteś... ciebie też przeżyję...

— Nie byłoby w tem nic dziwnego — rzecze zięć — ja na ziemi jestem tylko j e d e n, który mamie życzy iść do nieba, a tam w niebie jest ich s z e ś c i u, którzy mamie życzą, abyś została na ziemi...

Różnica.

I s z y t e r m i n a t o r: Wiesz, Ferdyk, teraz to ci juz wiem, jaka je różnica miendzy majstrem a czelodnikiem.

II-gi t e r m i n a t o r: Jako? Rzeknijze...

I-szy t e r m i n a t o r: Wis, to ci psiokrew tak jezd: jak ci panie czelodnik zachoruje, to się pedo, co jest kirny — a jak ci się majster skirzy, to się mówi, że jest chory...

Kto to?

Jego tu chciał okraść złodziej,
A on świsnął pannę z Łodzi.





Z Krakowskiego bruku

(autentyczne.)

Rzecz dzieje się w kancelaryi Tow. Przyjaciół sztuk pięknych. Za biurkiem siedzi sekretarz Tow. p. Boehm. W tem ktoś puka.

— Proszę — woła pan B...

Wchodzi młody mężczyzna 30-to kilkoletni z baczkami na twarzy i staje.

— Czem mogę służyć Szanownemu panu — pyta pan B...

Młody człowiek podchodzi bliżej.

— Pan sekretarz mnie nie zna?

— Nie panie!

— O jaka szkoda. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem J... współpracownik „Durniczki“.

— Bardzo mi przyjemnie. Czemże mogę szanownemu panu służyć.

— Panie sekretarzu, — ja mam maleńką prośbę do pana sekretarza (tu j e g o m o ś ć ó w n a c h y l a s i ę d o u c h a p a n a B o e h m a) nie mógłby mi pan sekretarz pożyczyć dwóch guldenów? Słowo honoru, że oddam. Pod słowem honoru — za dwa trzy dni.

— Ależ i owszem — jeżeli panu koniecznie potrzeba — mówiąc to wyciąga pan B... dwa guldeny i podaje panu J.

— Serdecznie dziękuję...

— Czemże mogę jeszcze szanownemu panu służyć — pyta pan B... widząc, że gość nie zabiera się do wyjścia.

— Panie sekretarzu — jeszcze jedna maleńka... prośba... bardzo maleńka...

— Ależ proszę bardzo?

— (Z n o w u d o u c h a). Nie mógłby mi pan sekretarz pożyczyć jeszcze dwóch guldenów — słowo honoru, że oddam — słowo honoru wojskowe, mego przyjaciela X..., — ale to powtarzam jeszcze raz — wojskowe słowo honoru mego przyjaciela X..., — że za tydzień oddam! Wojskowe słowo honoru, — czy pan sekretarz wie, co to jest wojskowe słowo honoru mego przyjaciela X...

— Ależ wiem, wiem mój panie — proszę pana — mówiąc to wyjmuje pan B... drugie dwa guldeny i daje gościowi.

— Serdeczne dzięki — wojskowe słowo honoru mego przyjaciela X... że za tydzień oddam.

— Do widzenia panu.

— Padam do nóg panu sekretarzowi. G o ś ć w y s z e d ł.

(T a s a m a s c e n a z a p ó ł g o d z i n y.)

K t o ś p u k a. — Proszę!

Wchodzi pan X... przyjaciel poprzednika.

— Dzie-eń dobry doo-obry pa...anu sekretarzowi.

— Dzień dobry panu. Niechże pan siada.

— Czem mogę panu panie X... służyć?

— Pa...anie sekretarzu — mała prośba — (d o u c h a) nie mógłby mi pan sekretarz na parę dni pożyczyć czterech guldenów? Wojskowe słowo honoru, że oddam! Wojskowe słowo honoru — oddam na pewno.

— Ależ kochany panie — odzywa się pan B... — tu przed chwilą był pański przyjaciel pan J... i już zastawił u mnie pańskie w o j s k o w e s ł o w o h o n o r u.



U wójta.

Na małej wsi, przychodzi jakaś starsza kobieta ze skargą do wójta.

— A cóż wam to moja Jakóbowa — pyta wójt?

— A no, nic panie wójcie — ino przyszłam sie do was poskarżyć, bo ludziska we wsi okrutnie se mną pyski wycierają, że moja córka Jagna — ta wicie to, co to wysła za kowala — jus w pięć miesięcy po ślubie powiła zdrowego i tęgiego chłopaka! Nimoge pedom wom panie wójcie ani przejść koło chałupy — tak ci wszystkie psiawiary wołają: A to wasza córka straśnie porządna była dziewczyna!

— E, nic se z tego moja Jakóbowo nie róbcie — odzywa się wójt z powagą, podkręcając wąsa — to ino przy pierwszem dziecku tak gadają — drugie będzie już w swoim czasie!...



Brylantowa myśl.

On. Jaka pani zimna! Aż strach! Gdybym przynajmniej wiedział, czem panią można rozgrzać

Ona. Spróbuj pan skrystalizowanym węglem....

Rzecz zapatrywania.

Pewien szlagon z prowincyi był po raz pierwszy w Wiedniu, no i rozumie się opowiada cuda:

— Czego w Wiedniu nie zobaczysz! Tam nawet kobiety siadają na dachach omnibusów!...

Jego sąsiad. To rzeczywiście dziwny obyczaj! Ale co się tam dopiero widzi, jak kobieta siada na dach omnibusu...

Pierwsza inwestycya.

Po sto reńskich z kasy wzięli
I do Lwowa szybko mknęli,
By marszałek nie miał żalu
Nie ujrzawszy ich na balu.

Boć dla niego nadzwyczajna
Radość zobaczyć Friedleina,
A rozpacza jego dusza,
Kiedy nie widzi Juliusza.

Więc go srodze ucieszyli,
Że najedli się, napili,
A za tę wycieczkę miłą
Miasto jeszcze zapłaciło.

Mamy więc nową pozycyę
Wydaną na... inwestycye.
Tak się robi interesa
I tak chudnie miejska kiesa.



Rzut oka w przyszłość.

Pewna niedawno poślubiona para szuka mieszkania. Zachodzą do pewnego domu, przyczem między gospodarzem a wynajmującymi następująca wywiązuje się rozmowa.

Gospodarz. Chętnie państwu wynajmę, bo ja z zasady wynajmuję tylko bezdzietnym lokatorom...

Młoda pani. To szkoda wielka... nie możemy wynająć... bo za rok musielibyśmy się wyprowadzić...



Bilety wizytowe.

Włodzimierz Tetmajer
polski artysta stosowany

Piotr Stachiewicz
Cykl (ista)

Wacio Szymanowski
stypendysta komitetu pomnika Grotgerowskiego

Ludwik Szczepański
właściciel kasy wertheimowskiej

Lucyan Rydel
jeniec z Toni

Sławomir Odrzywolski
antreprener niszczenia zabytków w Katedrze na Wawelu

Feliks Jasieński
kulparkowski apostoł sztuki

Tadeusz Błotnicki
artysta prowincyonalny

Maciej Szukiewicz
poeta, a niebawem Boehm

Adalbert v. Kossak
k. Hoffmaler und polnischer Patriot

Jan Macher Zawiejski
facecyonista

Ehrenberg-Jasnogórski
emeryt

Stępowski
jubilat — jąkała

Fejde
intrument dwu-głosowy

Konstanty Górski
ex-czasowy... Nick żołędny

Laszczka
operator sutek sulimowych



Enfant terrible.

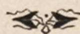
Matka: Elżuniu, pobiegnij do rzeźnika na przeciw i popatrz, czy ma nogi cielęce...

Elżunia (powracając): Mamusiu, nie mogłam nic widzieć, bo miał buty na nogach...

Ostrożny.

Pani domu (do lokaja): Mówiłam ci już tyle razy, żebyś nie wchodził do mego pokoju bez zapukania...

Lokaj: Jaśnie pani może być zupełnie spokojną... ja zawsze, nim wchodzę, przekonuję się przez dziurkę od klucza, czy można wejść...



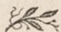


KANDYDACI DO RADY MIEJSKIEJ:

Zygmunt Mikołajski.



Reprezentant wszystkich stronnictw jakie istniały i istnieć będą. Zajadły antysemita i największy przyjaciel żydowski. Były wydawca pisma katolickiego i antisocyalistycznego, obecnie dla rozmaitości pożeracz księży i kamerdyner Daszyńskiego. Jeżeli wejdzie do Rady (o czem wątpi kościół Boży), to osobny protokolant będzie zapisywał dla Akademii Umiejętności niesłychane jego bogactwo językowe. Przyznać mu jednak trzeba, że posiada wielki dar wymowy i mógłby z Daszyńskim pójść w zawody, gdyby miał wykształcenie. W rezultacie zwykły warchoł, krzykacz, traktujący sprawy publiczne ze stanowiska swego interesu.



Wiktor Suski.



Jest z rodziny, która się odznacza pięknością ciała. Każdy Suski przystojny, a każda Suska... palce lizać. Piękną też jest i kamienica jaką posiada, piękny i sklep jego, cieszący się sławą dostarczania najlepszego Okocimera. Piękne też przynosi dochody, bo leży *vis à vis* Magistratu, w którym się piękne załatwiają interesa. Wśród tej powszechnej piękności pan Wiktor czuje pociąg do piękna. Kochał się w pięknych osóbkach i żył zawsze skory na ich usługi. Pewna n. p. piękna i bardzo dobra panna, późniejsza posłowa, zażądała raz od niego, aby przyszedł, ze znaczną pomocą osobie trzeciej. Znalazl się pięknie i otworzył dla potrzebującego kasę wertheimowską. Nie potrzeba zresztą do tego pięknej panny, bo i bez tego pan Wiktor nie jest sobkiem. Pięknie to o nim świadczy i byłoby pięknie, gdyby został radcą miejskim, gdzie z pewnością godnie reprezentowałby krakowskie kupiectwo.

Dr. Józef Muczkowski.



Pochmurny, ponury, sztywny. Ogromnie ceni... siebie. Jest wielkim zwolennikiem stańczyków, ponieważ należy do nich... radca sądu krajowego dr. Józef Muczkowski. Śmieje się rzadko, ale za to głośno... ze swojego dowcipu. Lubi towarzystwo archeologów i archiwistów — sam bowiem grzebie w starych papierach i skorupach. Pochodzi to zresztą z atawizmu, bo dziad jego był uczonym badaczem przeszłości.



Aleksander Sulikowski.



Nie jest to Aleksander Wielki, ale za to Aleksander gruby. Mina bycza, gęba karmazyna. Ubrać go w kontusz i dać mu wysokie obcasy, a będzie wyglądał na kasztelana, a co najmniej na starostę. A z owej gęby nie lecą otręby. Więc też przez „obywateli“ uważany za luminarza, jest Oleś już jakimś dygnitarzem w banku romańskim[1]), a teraz świeżo został cenzorem u „dzikiego“ i mężem zaufania u Hablińskiego. Ale jak Filip Aleksandrowi Wielkiemu, tak obywatele Aleksandrowi Grubemu mówią: „Synu mój, Macedonia dla ciebie za mała.“ Ztąd więc kandyduje do Rady miejskiej, gdzie się dostanie z pewnością, bo ma ku temu wszelkie dane. Oleś twierdzi, że cały werk Rady jest popsuty, dopiero on go naprawi, nakręci, da nową sprężynę i w ruch puści. Oby tylko Oleś był tak odważny na forum, jak jest dziś wśród przyjaciół. Spryt ma, zapobiegliwy jest, urządził swój sklep po europejsku — wygląda na dobrego gospodarza. Zda się więc w Radzie, jeżeli języka nie zamknie w podwójnej kopercie.

[1]) U Chmurskiego.

Józef Rudnicki.



Admirał marynarki krakowskiej. W „Sokole“ dawniej urządzał chętnie wieczorki, bo i sam wyszedł z *wieczorka*. Kupiec i człowiek dobry. Do polityczki dosyć się mieszał, ale nie dlatego, aby z niej coś wyciągnąć dla siebie. Uchodzi za dobrego przyjaciela i uczynnego człowieka. W Radzie byłby bardzo dobrym i poważnym przedstawicielem mieszczaństwa.



Ignacy Daszyński.



Największa gęba na przestrzeni od Białej po Zaleszczyki. — Redaktor półurzędowego organu — domniemany następca Krechowieckiego w „Gazecie lwowskiej“. Benjaminek każdorazowych namiestników — ulubieniec prokuratorów. Przyjaciel od serca Kazimierza Badeniego i Andrzeja Potockiego. W całej Europie jeden tylko Wilhelm II. przerasta go w małomówności. W przewidywaniu jego wyboru, obecna Rada pragnie w obawie katastrofy na gwałt wybudować nowy magistrat z podwójną grubością murów. Spodziewany jest również mały stan oblężenia i powiększenie załogi. Seinfeld będzie nosił przed nim buńczuk. Każde posiedzenie Rady rozpocznie się od śpiewania „Czerwonego sztandaru“.



Telegram.

LWÓW. W ubiegłym tygodniu wyjątkowo nikt nie dostał po pysku. Z tego powodu Ludwik Masłowski i Ostaszewski-Barański wymienili między sobą gratulacye.


— Pamiętaj Józefie, abyś za godzinę po mnie wrócił!
— Nie wiem, prose jaśnie pani — cy mnie tak prędko moja Maryśka puści.
— A jaka jest różnica, proszę pani, między Chinką a Europejką?
— Widzi pan, taka, że Chinka ma o cal wyżej... oko!...
— Mój Boże — i znowu dzisiaj spóźnię się do biura! Nie ma to jak żonatemu — taki to już o 5-tej rano musi z domu uciekać...
— Przyznaj mi się pan — czyś pan kawaler, czyś pan żonaty?
— Jak na razie, proszę pani, to jestem na krótki czas do wzięcia!
— Cóż to mąż pani taki zmęczony — ledwie jednego walca zrobił i już dyszy?
— Ale nie panie! Już ja go dobrze znam — on tylko tak udaje, abym mu drugi raz tańczyć nie kazała!



— Mój Boże! Znowu jedna z przyjaciółek pisze mi, że choć jej narzeczony nie kocha, ale się z nią żeni — a mnie wszyscy kochają, ale żenić to się żaden nie chce!



— Powiedz mi, po się ty właściwie ze mną żeniłeś?

— Jakto po co? Po to, poco i mój ojciec.

— E, wątpię, bo ty chyba nigdy tem nie będziesz, czem był twój ojciec...



Po karnawale



— Widzisz mój zięciu — niema miesiąca, jak od was wyjechałam i znowu jestem u was...

— Tak, ja przecież, proszę mamy, już od urodzenia mam takiego pecha!...

— Słuchajże — oświadcz-że się dzisiaj mojemu ojcu — trzeba korzystać z jego dobrego humoru!

— Tak — wiesz, jeżeli rzeczywiście dziś jest w takim dobrym humorze, to wolę go na pożyczkę naciągnąć!



— Wie pani, że dzisiaj na przedstawieniu wyglądała pani wspaniale!

— Gdybyś pan nie był goły, te przekonałbyś się pan, że ja po przedstawieniu jeszcze lepiej wyglądam!



Ładna opinia.

Jaką ładną opinię mają u nas teatry prowincyonalne w Galicyi, niech poświadczy następujący fakt:

Towarzystwo dramatyczne pod dyrekcyą pani Woźniakowskiej jedzie furami z Drohobycza do Sambora. Dwie fury zapełnione rozmaitemi dekoracyami, bagażami wloką się wolno, a grupa artystów idzie drogą pieszo, obok fur przechodzą przez jakąś wieś — śmiejąc się i opowiadając głośno. Zwabiona niezwykłym hałasem wybiega z chałupy jakaś dziewietnastoletnia dziewczyna. Przypatruje się — nareszcie szybko zamyka chałupę, biegnie do ogrodu i krzyczy:

— Matulu, matulu! Rany Boskie, a zbirajcież prędko z płota, bo jaktory tędy jadą!..



Szczyt upartości.

Srul i Mojsze gwałtownie się o coś pokłócili. Ponieważ każdy uparcie trwał przy swojem zdaniu więc poszli do rabina, aby ich pogodził. Rabin ze spokojem wysłuchał o co im chodzi, lecz nie mógł sobie z przywiedzionych okoliczności wyrobić zdania, który z nich ma racyę.

— Który z was jest bardziej uparty — rzecze mądry rabin — temu przyznam racyę...

— Ja! — krzyknął Srul.

— Ja! — wrzasnął Mojsze, spoglądając groźnie na swojego antagonistę...

— Powoli — mitygował zwaśnionych cadyk — niech mi każdy z was opowie jakiś wypadek ze swojego życia, abym mógł sobie wyrobić zdanie, który jest bardziej uparty...

— Ja — rzecze Srul — byłem raz głodny w szabes i zachciało mi sze jeszcz świeze ziemniaki, to poszedłem do domu i zacząłem wołacz na żonę, żeby ugotowała ziemmniaki, a ona, bo był szabes nie chciała, to ja sze uparłem i zacząłem krzyczecz: żemikes! żemikes! aż mi żona ugotowała żemikes...

— To nic — rzecze na to Mojsze. — Mnie raz zabolał ząb, to poszedłem do doktora i kazałem sobie go wirwacz. Doktór sze mi spytał, który ząb mnie boli, to ja na powiedziałem. — Ty jesteś a doctor to ty musisz besser odemnie to wiedzecz... Ny i co ty mówisz na to, rebbeleben, un mi zaczął rwiacz jeden ząb po drugim, aż trafił na bolący, a ja mu nie powiedziałem...

— Ty jesteś bardziej uparty, ty masz racyę — brzmiał wyrok rabina.



Autentyczne ogłoszenie.

Panienka, która kończy konserwatoryum potrzebuje lekcye do uczę szczania na fortepianie. Magiel na miejscu.



Z balu prasy.

(Własne sprawozdanie.)

Znakomicie zredagowana uroczystość miała przebieg imponujący. Ze sfer panieńskich i młodych mężatek było wiele nadesłanych, tak, że w krótce okazał się brak miejsca. Panie przedstawiały doskonałe wycięcia, niekiedy nawet przychodziło do sensacyjnych odkryć z życia prywatnego. Można było zauważyć, jak piękne panie po zacisznych kątach podawały sobie z ust do ust wiadomości lokalne; urocze oczy ustawicznie przesyłały telegramy prywatne. Przy stole podczas kolacyi po raz pierwszy i to z olbrzymim sukcesem zastosowano Marconiego telelegraf bez drutu...



Pancerz Szczepanika.

Donoszą pisma, iż rozmaici wielcy tego świata kazali sobie pancerzem Szczepanika podbić różne części garderoby, lub też zrobić z niego kamizelki, chroniące przed zamachem.

W Krakowie panna Górska poleciła z tego pancerza uszyć sobie majtki kąpielowe.

PODCZAS EGZAMINU.

Podczas egzaminu na wydziale genealogicznym, pyta profesor kandydata:

— Proszę mi powiedzieć, jaka jest różnica między wodą a bliźniętami?

— Różnica jest następująca, proszę pana profesora, że znak chemiczny wody jest H_2O, a bliźnięta (przy urodzeniu) przeciwnie Oh, Oh!

Dobra propozycya.

A.: Chętnie poszedłbym na bal maskowy, ale odstraszają mnie wydatki na kostyum...

B.: W takim razie idź w stroju adamowym.

ONA WIE LEPIEJ.

Baron: Moja droga, żenię się z tobą, ale musisz na zawsze pożegnać się ze sceną...

Artystka: Na zawsze? Mnie się zdaje, że sześć miesięcy urlopu najkompletniej wystarczy.

W gimnazyum żeńskiem.

Profesor (złoszcząc się): Rzeczywiście! Taka nieudolność!! Wolę mieć do czynienia z dziesięciu gimnazyalistami..)

Uczennica (rezolutnie): Ja także panie profesorze.

Strzeżcie się prawdy.

Kiedy Kazio Zalewski nędzne tworzył plotki,
Zawsze wychodził z nich cało, —
Kiedy pluł na uczciwych, wywyższał kokotki
Nic a nic mu się nie stało.
Lecz gdy raz z pióra jego wyszła prawda szczera,
Wnet doznał losu szykany, —
Bo za szwindle, krętactwa Wolffa-Gebethnera,
Na areszt został skazany.



Tu leży

zupełnie świeży
bo pięć miesięcy mający,
a żydem nie śmierdzący

Nasz Głos

Zawiódł go naprzód trzos,
A potem los.
Naprzód życie mu mącił
A **Głos Narodu** utrącił.

Męczył Rottera
Męczył Bujwida
Darł żywcem skórę
Z każdego żyda.

W dziejach jego wyryci są złotemi głoski:
Ehrenberg, Lewicki, Jejde i Noskowski,

Przez wdzięczność, którą dlań w swem sercu chowa
Ten skromny kamień kładzie Rogoszowa,



W APTECE.

Stary chłop. Proszę mi dać szarej maści...

Aptekarz. Za ile?

Chłop (niedosłyszawszy). Hę?... Na ile?... Ano tak na 10 do 20 tysięcy...

Zagalopował się.

Pewien profesor historyi starożytnej wykłada: „Starożytni Germanie tak namiętnie grali w kości, że czasami przegrywali nawet swoje żony... (z głębokiem westchnieniem). Szczęśliwi byli ci starzy...

Logika kobieca.

Żona (do męża). Więc zniżyli jeszcze bardziej stopę procentową w Kasie Oszczędności? To przecież będzie o wiele praktyczniej, gdy będziemy mniej składali do Kasy... a ja sobie za to sprawię nową suknię... przynajmniej będzie się coś miało ze swoich pieniędzy...



Facecye autentyczne.

Było to przed laty — młodsza generacya tego już nie pamięta — gdy na firmamencie teatru krakowskiego pojawiła się gwiazda pierwszorzędna tak pod względem niezwykłej urody, jak i talentu scenicznego, panna X. (dzisiaj nazwisko powszechnie szanowane i znane.) Rozumie się świat eleganckich panów począł tłumnie chodzić do teatru — wówczas to resursa stale zaabonowała lożę — panna X. stała się osią, około której obracały się wypadki dnia. Bale, wieczorki, rauty, maskarady, festyny, szlichtady, wycieczki były na porządku dziennym, a wszystko to ad captandam benevolentiam pięknej artystki, która z drugiej strony wcale nie była nieprzystępną, bo... no bo się bawić lubiała. Ale nie długo to trwało — po upływie kilku miesięcy panna X. znajdowała się w takim stanie, że nie mogła już występować na scenie — biedaczka musiała się usunąć w zacisze domowe. Po upływie tylu a tylu miesięcy stało się to, co się zawsze w takich wypadkach dziać zwykło. Fakt był notoryczny w Krakowie i żywo omawiany.

Panowie łamali sobie głowy nad kwestyą; Kto jest tym szczęśliwym ojcem? Domysły, padały to w kierunku hrabiego Z., to barona N., to Dr. Ł., — ale nic pewnego nie wiedziano.

Pewnego razu siedziało grono panów u Wentzla przy bombach — no i rozumie się mówili o wypadku dnia — przyczem na próżno sobie łamali głowę nad tym problematem.

— Zawiejski nam powie! — Zawołał ktoś — on się obraca w sferach teatralnych, on coś musi wiedzieć...

— Mój panie! — rzecze w ten sposób zapytany architekt Zawiejski. — Tu trudno coś pewnego powiedzieć! Przypuśćmy, że pan w lesie siadasz na kopcu mrówek, czy mógłbyś potem powiedzieć, która mrówka cię ukłóła?



Odcięła się.

Na balu dobroczynnym przychodzi do bufetu pewnej damy o typie wybitnie semickim jakiś gogo i rzecze:

— Proszę o koniak piękna Rebeko...

— A to pan kiepsko znasz biblię! Wszak Rebeka poiła wielbłądy... wodą, a nie koniakiem.

Między przyjaciółkami.

Jadzia. Więc Edzio cię na pewno już porzucił?

Madzia. Tak jest! Mnie tylko żal mojego biednego męża... on już tak się do Edzia przyzwyczaił...



REFLEKSYA.

Bal za balem — raj dla dziewic
Dla froterów i kochanków,
A ja sobie z żalem myślę:
Ile tam zerwano wianków!

Co nie znaczy, bym żałował
Wianka tego lub owego.
O nie! tego żal mi tylko
Żem sam nie tknął choć jednego.

G.



Historya złodziejska.

Państwo Zenonowie D..., gruba szlachta z prowincyi, postanowili na karnawał zjechać do Krakowa. Cały ten szlachetny zamiar nie przedstawiałby większych trudności, gdyby nie okoliczność, że mieli dwunastoletniego jedynego synka, którego z jednej strony bali się samego na wsi pozostawić, a z drugiej strony nie chcieli go w tak młodym wieku narażać na pokusy wielkomiejskie. Ale szczęśliwie wybrnęli z kłopotu, gdyż postarali się dla synka o bardzo moralnego guwernera, eksteologa a obecnie filologa, który poza klasykami i małym Heniem nie widział świata. Wyjechali tedy do Krakowa i najęli pyszne mieszkanie — no i pysznie się bawili. Pan Zenon z małżonką bywał po wszystkich arystokratycznych zabawach, a guwerner pokazywał Heniowi zabytki naszej przeszłości, chroniąc go jaknajtroskliwiej przed zetknięciem się z ulicą.

Pewnego wieczoru państwo Zenonowie wybierali się na jakiś raut — Henio miał z nauczycielem zostać w domu — gdy w tem nagle mały Henio wpada do buduaru mamusi z przeraźliwym krzykiem:

— Mamuniu!... mamuniu!... złodzieje się zakradli...

— Moje dziecko? co ty pleciesz? gdzie?... jak?...

— U...u... pana nauczyciela... — szepnął Henio drżąc ze strachu.

— Skądże ty to wiesz? — wmieszał się ojciec.

— Ano... — rzecze Henio — bo słyszałem przez ścianę, jak w pokoju pana nauczyciela ktoś mówił: jak mi nie dasz koronę więcej, to ci zabiorę płaszcz...



Szczególny pech.

„Arizona Kriker“ donosi o następującem zdarzeniu:

Przed sędzią pokoju zjawia się pewne małżeństwo z żądaniem rozwodu.

— Zanim na to zezwolę — rzecze sędzia — musicie się porozumieć co do dzieci. Czy pan reflektujesz na dzieci?

— Tak jest! — rzecze mąż — na połowę.

— A pani?

— Także na połowę...

— To dobrze! A ile dzieci macie?

— Pięcioro...

— To niemożebny podział. Idźcie do domu i porozumcie się...

Odeszli. Długi czas nie było ich widać. Po roku przychodzi mąż.

— No jakże? — pyta sędzia. — Nie pogodziliście się jeszcze?

— Nie! — rzecze mąż. — Musimy się rozwieść, ale tymczasem bocian do nas zawitał...

— No, ten wypadek ułatwia znacznie kwestye podziału dzieci... Każde z was dostanie teraz troje.

— Ależ to znowu niemożebne! — wykrzyknął zrozpaczony mąż. — Pomyśl, sędzio! Żona obdarzyła mnie bliźniętami!...



Odczyty o życiu.

Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika urządza szereg odczytów „O życiu“. Wykładać będą: prof. Kostanecki: „Życie za pieniądze teścia“; Ludwik Szczepański: „O zamianie Życia na Ilustracyę“; hr. Andrzej Potocki: „Życie nad stan“; dyr. Kotarbiński: „Psie życie dyrektora teatru“; dr. Doboszyński: „Początki życia małżeńskiego“; redaktor Filimowski: „Życie po śmierci“; arch. Zawiejski: „Życie za kulisami“; Art. Górski: „Paryskie życie“; nadradca Habliński: „Pieniądze albo życie!“; prof. Domański: „Życie żab i robaków w wodociągu miejskim“. Prócz tego jedna z dam (niewiadomo jeszcze która, bo zgłosiło się dużo specyalistek) wygłosi odczyt: „Życie we troje“.

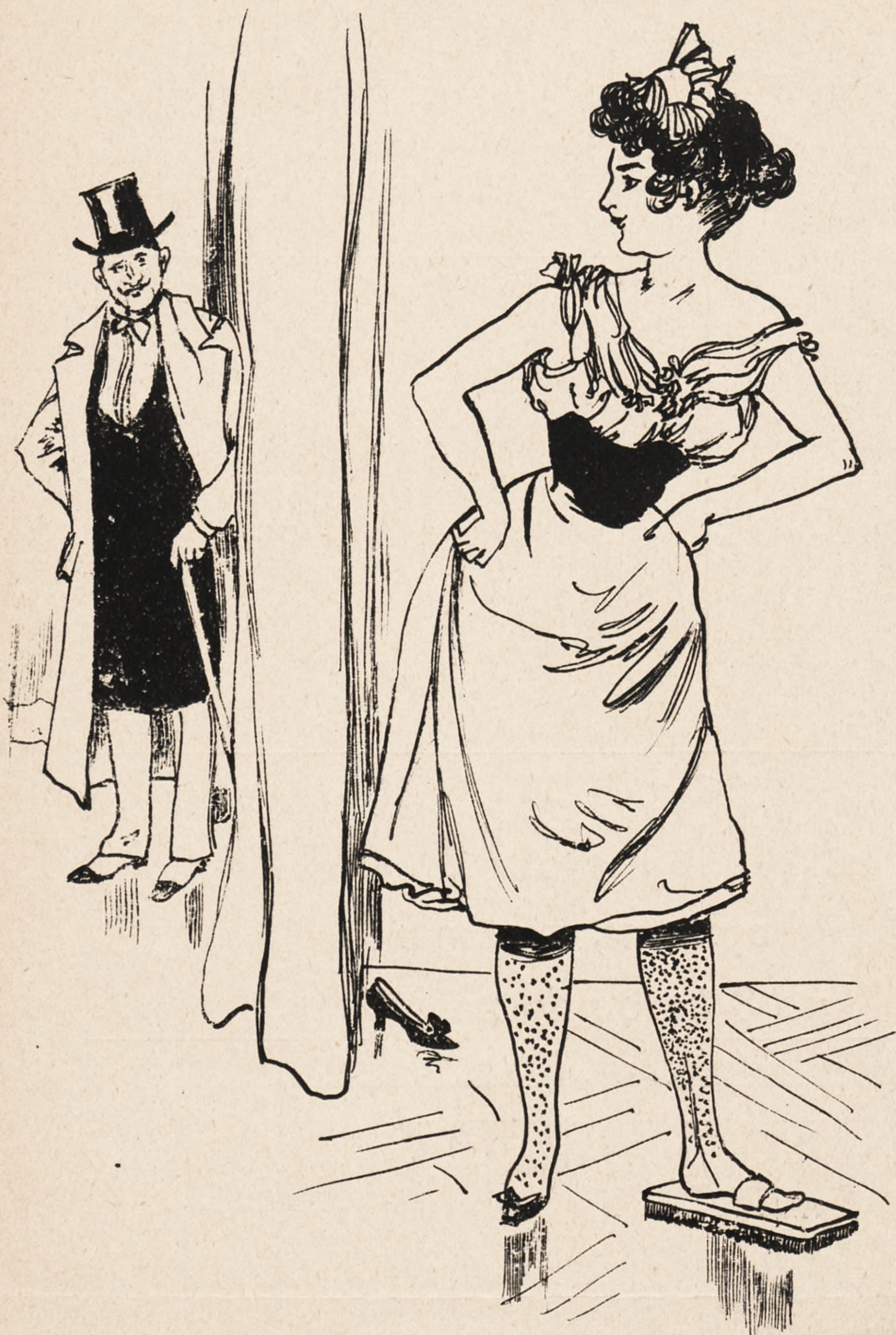


Dobrane stadło.

Mąż. Jak śmiesz wdawać się z moim kamerdynerem!

Żona. Mój Boże! Przecież ten biedak musi mieć jakąś kompensatę, skoro ty bałamucisz moją pokojówkę...

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Lipiński.** Wydawca i właściciel: **Wacław Lipiński.** Z Drukarni Narodowej w Krakowie.





— Jesteś pan wprost nieznośny! Nie cierpię pana!

— A to dlaczego, czy dlatego, że panią w rączkę całuję?

— Właśnie dlatego, że pan nic więcej nie potrafisz, tylko po rękach całować...

— Moja Róziu — jak będziesz dla mnie grzeczną, to dostaniesz odemnie ładny prezent!

— O! — mnie pan na ów ładny prezent nie weźmie! Już mi moja poprzedniczka opowiadała — że ładny prezent, to się u pana nazywają... stare pończochy po nieboszczce pani!



— Jakto? To ty stary lamparcie i niedołęgo będziesz mi poza domem za kobietami uganiał...

— Ja się chciałem, moja duszko tylko przekonać...

— Ty się już przekonywać nie potrzebujesz, bo ty sam dawno o tem dobrze wiesz, żeś nic nie wart...



— I cóż moja córko — żeni się z tobą?

— Kiedy on powiada, proszę mamy, że mu metryka zginęła!...